

Zaświadczenie po przyjeździe do Polski należy mieć przy sobie zawsze przy udziale ewakuacji.

ZAŚWIADCZENIE

na prawo ewakuacji do Polski

№ 394/16

Okazności niniejszego Melkijewicz Piotr Stefan
(Główny, tam, tam, tam)

Urodzony w roku 1900

Miejsce urodzenia Star Narodowość Polaka

Ostatnie miejsce zamieszkania in, r. m. Bink.

ul. Wsarska 10


Ewakuje się do Kielce powiat _____

_____ województwo _____

Z nim udają się syn: 1. Melkijewicz, 2. Stokadjan i
Piotr i córka Stefanowa 2/1 - 1944
1944

Ważne do _____ 1944 roku.

Pełnomocnik Okręgowy
Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego



Zaświadczenie o uprawnieniu do ewakuacji do Polski

ZAPOMNIANE BOGACTWO KRESÓW WSCHODNICH

Słońsk 2011

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Słońska „Unitis Viribus”

Redakcja: Paulina Capała, Izabella Engel, Barbara Gąsiorek,
Małgorzata Maksymczak-Żyła, Henryk Radowski

Autorzy: Barbara Gąsiorek, Edyta Gąsiorek, Kamil Ilnicki, Paweł Ilnicki,
Barbara Jaworska, Kamila Komarnicka, Teresa Kościuk, Katarzyna Niemyska,
Teresa i Henryk Radowscy, Radosław Stachniuk, Monika Śliwińska,
Agnieszka i Martyna Tychończuk, Agnieszka Wolna

Ilustracje: Regina Bartek, Jakub Burkiewicz, Magdalena Burkiewicz,
Marcelina Hewusz, Joanna Komarnicka, Kamila Komarnicka,
Aleksandra Matkowska, Kaja Sozańska, Monika Śliwińska, Martyna Tychończuk,
Agnieszka Tychończuk, Cyprian Urbaniak, Milena Urbaniak

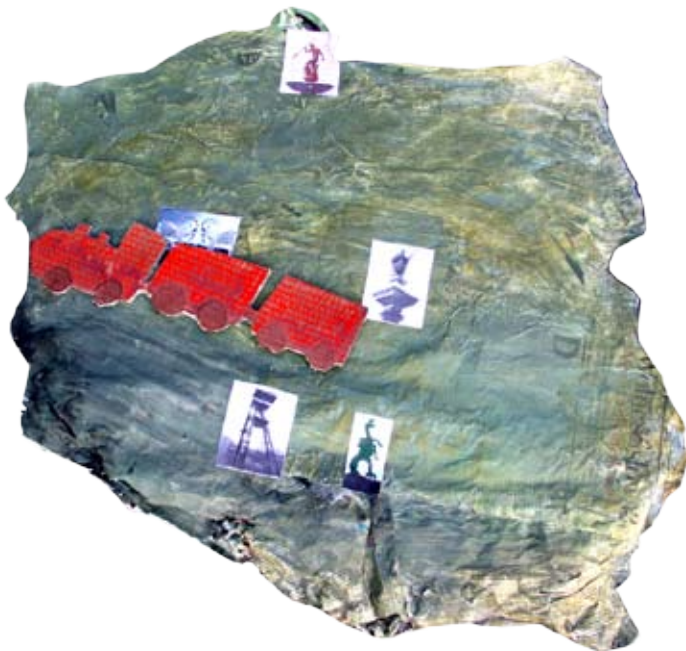
Zdjęcia: Justyna Budzyn, Paulina Capała, Izabella Engel, Barbara Gąsiorek,
Paweł Ilnicki

Opracowanie graficzne: Justyna Budzyn, Paweł Ilnicki, Kamila Komarnicka,
Monika Śliwińska, Radosław Stachniuk

Korekta: Ewa Cichocka

Skład i druk: Drukarnia SONAR sp. z o.o.
66-400 Gorzów Wlkp., ul. Kostrzyńska 89, www.sonar.pl

I. Wstęp – Zapomniane bogactwo Kresów Wschodnich	7
II. Województwo lwowskie	
1. Jedzie, jedzie na kasztance – <i>wspomnienie o Annie Komarnickiej</i>	10
2. Powrót do Matkowa – <i>historia Michała Ilnickiego</i>	12
3. Dziecko wojny – <i>historia Czesławy Stefanowicz</i>	15
III. Województwo nowogródzkie	
1. Smaki dzieciństwa – <i>opowieść Jana Kościuka</i>	19
2. Babcia mojego przyjaciela – <i>Zofia Stachniuk</i>	24
IV. Województwo poleskie	
1. Cudowny obraz – <i>opowieść o Aleksandrze Bułczyńskiej</i>	27
2. Buty szczęścia – <i>krótka historia Zbyszka Dmitruka</i>	33
3. Syn młynarza – <i>historia Bronisława Juszkiewicza</i>	36
4. Maszyna do szycia – <i>żywicielka – opowieść Bronisławy Niedbały</i>	39
5. Szkolne lata Janka – <i>historia Jana Stefanowicza</i>	42
6. Boże Narodzenie oczami Bronka – <i>opowieść Bronisława Tatarewicza</i>	46
V. Województwo tarnopolskie	
1. Dawne czasy babci Apolonii – <i>rozmowa z babcią</i>	49
VI. Województwo wileńskie	
Rodzinny dom Ewy – <i>opowieść Ewy Boryczewskiej</i>	51
VII. Województwo wołyńskie	
1. Z niedawnych lat – <i>Zygmunt Bogulak-Bogulski</i>	54
2. Z Wołnia do Słońska – <i>rozmowa z Janem Węgrzynem</i>	57
VIII. Ukraina	
1. Historia miłości – <i>opowieść o Wandzie Czujkowskiej</i>	60
IX. SŁOWNICZEK	63



*MAPA POLSKI WYKONANA PRZEZ UCZESTNIKÓW
WARSZTATÓW PLASTYCZNYCH*

*„Droga przez życie pędzi bez wytchnienia
i my chcemy nasz ślad ocalić od zapomnienia”*

I. Wstęp

ZAPOMNIANE BOGACTWO KRESÓW WSCHODNICH

Kresy – dawne ziemie wschodnie II Rzeczypospolitej obejmowały swym zasięgiem województwa: wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie. Na kulturę i obyczaje ludności zamieszkującej to ogromne, leżące na pograniczu terytorium, wpływ miały religie i tradycje wielu narodów. Ich wzajemne przenikanie się sprawiło, że region ten był niezwykle różnorodny i kulturowo bogaty. Bardzo istotnym składnikiem tej kultury był pierwiastek polski, którego już dziś na tych obszarach prawie nie ma. Polacy musieli bowiem opuścić Kresy po II wojnie światowej, gdy ziemie te zostały przyłączone do Związku Radzieckiego.

Lata powojenne przyniosły ze sobą nie tylko radość – koniec wojny, lecz także rozterkę i początek nowego życia. Władze Związku Radzieckiego zaczęły niszczyć wszystko, co związane było z polskością na przyłączonych do ZSRR terenach. Polaków, gdyby pozostali na Kresach, czekały łagry, więzienie, deportacje, nacjonalizacja, uspołecznienie gospodarstw rolnych – kołchozy. Wybrali więc przesiedlenie na Ziemię Zachodnie.

Przesiedleńcy zwani byli przez komunistyczne władze „repatriantami”, czyli tymi, którzy wracają do ojczyzny (choć nie wracali przecież, a zostali zmuszeni do ucieczki ze swojego kraju). Wyrzuceni z własnych domów zaczęli na Ziemiach Zachodnich nowe życie.

Ale pamiętają o swoich rodzinnych stronach. Z wielkim wzruszeniem opiewają piękno rodzinnego krajobrazu, urok miejsc, w których spędzili dzieciństwo i młodość. Wspominają z rozrzewnieniem tradycje, obyczaje, swój język – który w każdym regionie był inny. Pamiętają, że dzielili te ziemie z Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami i Żydami.

Kresowiaczy nie mogą przeboleć, że w wojennej zawierusze utracili swoich najbliższych, swoje dokumenty, pamiątki. Pamiętają o tych okrutnych i tragicznych czasach, o swoich przodkach.

Kresy zostały daleko – a jednak są blisko, ponieważ wspominający noszą je w swoich sercach. Nie zapomnijmy i my – weźmy te wszystkie historie opowiedziane i spisane do naszych serc, zakodujmy je w swojej pamięci, opowiedzmy naszym dzieciom. Niechaj te Kresowe Sagi zwykłych, prostych ludzi będą dla naszych serc rekolekcjami. Niech będą łącznikiem historii dla naszych dzieci.

Henryk Radowski

RODZINNY KRAJ

[...]

*Ten kraj rodzinny tyle ma wspomnień.
Tyle piękności i czarów wód...
On słynie dawno ze swych pięknych wspomnień.
Z echa łzy szkarłatnej i piękna radości.
Z szumiących drzew i muzyki wieczornej –
Przedziwnie – przepięknie grającej.
I z ciszy lekkiej, dziwnej przedwieczornej.
I z szarej pogody często się chmurzącej...
O Kraju ty piękny – o Kraju rodzinny!!!
Czar Twój wtedy się odczuje, gdy go się straci...
Gdy opuści się swój łąn rodzinny...
Swych drogich dla serca braci.*

Fragment wiersza, który został ułożony w Sarnach dnia 12 marca 1939 roku przez Marylkę Juszczykówną.





II. Województwo lwowskie

Województwo II Rzeczypospolitej ze stolicą we Lwowie zostało utworzone 23 grudnia 1920 roku. Głównymi miastami województwa były: Lwów, Borysław, Drohobycz, Jarosław, Krosno, Przemyśl, Rawa Ruska, Rzeszów, Sambor, Sanok i Żółkiew. Województwo liczyło 27 powiatów, 58 miast, 252 gminy wiejskie.

1. JEDZIE, JEDZIE NA KASZTANCE

– *wspomnienie o Annie Komarnickiej*

Piszę to dla swojej zmarłej babci. Nie chcę, aby jej wspomnienia zostały zapomniane, dlatego przelałam na kartkę papieru wszystko to, co pamiętam z jej opowieści.

Nazywała się ona Anna Komarnicka Tatarynowicz, z domu Ilnicka. Urodziła się 23 grudnia 1925 roku w Matkowie, w obwodzie lwowskim, w rejonie turczańskim nad Stryjem. Kiedyś była tam Polska, ale dzisiaj te tereny należą do Ukrainy. Mieszkali w nim Polacy i kilkudziesięciu Ukraińców.

Moja babcia miała dwóch braci. Gdy była jeszcze małą dziewczynką, jej mama zmarła, dlatego jej wychowaniem zajmował się mój pradziadek. Kiedy wybuchła II wojna światowa, moja babcia miała 14 lat. Podczas tych ciężkich i długich sześciu lat wojny zajmowała się domem

i swoim rodzeństwem, gdyż jej tato chodził do pracy na roboty. Moja babcia codziennie obrządzała zwierzęta, doiła krowy, zaprowadzała je do lasu i pracowała wiele godzin w polu. Była ona osobą, która mimo swojej ciężkiej sytuacji nie poddawała się, dawała sobie radę ze wszystkim, dlatego ją tak bardzo podziwiam. Nie miała ona wiele czasu dla siebie, a raczej w ogóle go nie miała, gdyż w wolnych chwilach robiła na drutach albo uczyła swoich braci pisać i czytać. W czasie wojny nauczyła się wszystkiego: gotowania, rąbania drzewa, szycia i wychowywania dzieci. Babcia jako dziecko umiała bardzo ładnie czytać. Podczas wieczorów, gdy ludzie przychodzili do jej domu prząść i drzeć pierze, mama kazała jej czytać różne polskie książki wypożyczone z biblioteki.

Rodziny dom mojej babci był zbudowany z drewna własnoręcznie przez jej dziadka, który mieszkał z nimi. Znajdował się niedaleko lasu i drewnianego mostku prowadzącego do wsi. W Matkowie nie było kościoła katolickiego, tylko prawosławna cerkiew Najświętszej Bogurodzicy. Chodzili do niej mieszkańcy wsi, m.in. moja babcia. Msza była odprawiana przez popa w języku ukraińskim. Babcia chodziła do pobliskiej szkoły, gdzie ukończyła siedem klas.



*Rodzina Państwa Komarnickich,
1954, pani Anna z prawej u góry.*



Anna Komarnicka, 2009

Pamiętam również, jak moja siostra uczyła się wiersza na Święto Niepodległości. Wtedy moja babcia opowiedziała mi, jak oni w szkole także uczyli się wierszy z tej okazji. Ubrani byli na galowo i śpiewali piosenki. Pewnego dnia również z innymi widziała jadącego przez wieś Piłsudskiego na koniu, któremu śpiewali piosenkę pt. „Jedzie, jedzie na kasztance”. Było to wtedy dla mnie wielkim zaskoczeniem, że moja babcia go widziała. Bywała ona często we Lwowie u swojej cioci. Znała miasto bardzo dobrze, nawet miała chodzić tam do szkoły, ale stamtąd wyjechała. Większość polskich mieszkańców, postawiona przed wyborem wyjazdu na Zachód lub przyjęcia obywatelstwa ZSRR, wybrała to pierwsze. Nie pamiętam, skąd babcia wyjechała, ale wiem, że przyjechała na Ziemię Odzyskane, do Kostrzyna nad Odrą. Podróż odbywała się w bydłowych wagonach. W 1945 r. babcia osiedliła się na Przyborowie wraz z ojcem i braćmi. Mieli oni ze sobą jedynie krowę, która dawała im mleko. Moja babcia była wspaniałą matką dla mojego taty i jego rodzeństwa, a dla mnie silną i kochającą osobą, pomimo swojej drobnej postury.

Kamila Komarnicka

2. POWRÓT DO MATKOWA

– historia Michała Ilnickiego

Nazywam się Michał Ilnicki, pochodzę z Matkowa, ze wsi na obecnej Ukrainie, w dawnym obwodzie lwowskim, w powiecie turczańskim. Krajobraz naszej miejscowości był przepiękny, ponieważ otaczały nas góry, przepływała rzeka Stryj, rosło wiele lasów, dzięki temu mieliśmy czyste i świeże powietrze, o czym teraz tylko mogę marzyć.

Mieszkałem tam wraz z rodziną, w skład której wchodziło sześcioro rodzeństwa oraz rodzice. Mieszkaliśmy w chatce pokrytej słomą, w której były trzy pomieszczenia. W kuchni stał piec.

Uczęszczałem do szkoły, do której miałem bardzo blisko. Nie ukończyłem 6 klas, ponieważ musieliśmy wyjechać do Polski.

Najbardziej na Wschodzie podobały mi się góry, na które nie tylko się wspinaliśmy, lecz także chodziliśmy paść krowy. Jednak najchętniej swój wolny czas poświęcałem na chodzenie na jagody do lasu, to było moje ulubione zajęcie, ale równie chętnie chodziliśmy na Węgry po jabłka.

Mimo tych atrakcji, które przynosiła nam przyroda, nie mogę zapomnieć, że bardzo lubiłem chodzić do szkoły (co pewnie was teraz dziwi), która była niedaleko mojego domu.

Muszę również wspomnieć o piosenkach, które do dziś pamiętam, m.in. „Czerwona róża trojaka”, którą chcę wam zaśpiewać.

*Zaćwiła róża trojaka,
Zaćwiła róża trojaka,
Mała ja muža, mała ja muža,
Mała ja muža pijaka.
Win nyc ne robic tylko pje,
Win nyc ne robic tylko pje,
Pryjde do domu,
Do domu pryjde,
Do domu pryjde me nebjje
Ne byj nia mużu ne karaj,
Ne byj nia mużu ne karaj,
Łyszu te dycia,
Dycia te łyszu ,
A sama pidu za Dunaj.*



*Michał Ilnicki,
lata siedemdziesiąte*

Święta Bożego Narodzenia. Pamiętam, że przed Świętami Bożego Narodzenia chodziliśmy daleko do lasu po choinkę, którą przynosiliśmy do domu i stroiliśmy. Kolację wigilijną spożywaliliśmy tak jak teraz, czyli w rodzinnym gronie. Nie brakowało nam podczas tych świąt uśmiechu i radości na twarzy. Nie możemy również zapomnieć o kolędnikach, którzy nas odwiedzali co roku.



Michał Ilnicki, 2010

Jako że zajmowaliśmy się rolnictwem, to dużo czasu musieliśmy spędzać na polu, łące lub w pomieszczeniach gospodarczych. Mieliśmy wykopki, na których ziemniaki wykopywaliśmy za pomocą haczki. Natomiast żniwa polegały na koszeniu przez mężczyzn kosą, a kobiety miały za zadanie zbieranie i wiązanie w snopki. Oprócz kosy i haczki posiadaliśmy również pług, brony i różne inne narzędzia.

Z mojego życia na Wschodzie pamiętam, że jak Niemcy uciekali, zabierali bydło, ojciec był w łagrach niemieckich w Samborze, a ja z krową uciekłem do lasu i miesiąc czasu tam się kryłem, tylko się żywiłem jagodami i piłem mleko i dzięki temu żyję do dnia dzisiejszego.

Mimo wielu lat przeżytych w Matkowie musieliśmy stamtąd wyjechać, ponieważ partyzantka ukraińska atakowała i nie było tam wtedy bezpiecznie. Wyjechaliśmy z Matkowa w 1945 roku. Do stacji, która znajdowała się w Samborze, jechaliśmy ruskim samochodem, a bydło szło obok. Ze stacji jechaliśmy pociągiem do Polski. Pamiętam, że wtedy Święta Wielkanocne spędziliśmy w podróży, w pociągu. Zatrzymaliśmy się akurat w Słońsku, ponieważ tu nas przywieźli.

Wysłuchała i spisała: Agnieszka Wolna



3. DZIECKO WOJNY

– *historia Czesławy Stefanowicz*

Pani Czesława urodziła się we wsi Wołków położonej 12 km od Lwowa. W tej wsi była poczta, szkoła i wszystkie inne instytucje. Nie była to wieś zacofana, gdyż znajdowała się tam biblioteka i prowadzono tam różne kursy. Mieszkali w niej Polacy, Ukraińcy i Żydzi.

Pani Stefanowicz urodziła się w 1941 r. Jej mama bardzo przeżywała jej narodziny, gdyż była wojna i płacz dziecka mógł nakierować bandytów na schron, w którym przebywali. Nasza rozmówczyni zwierzyła się nam, że bardzo żałuje, iż nie porozmawiała ze swoimi rodzicami o wszystkim, co ją dziś interesuje. Odeszli.



*Czesława Stefanowicz,
lata sześćdziesiąte*

Dom ciotki pani Stefanowicz stał niedaleko jej rodzinnego domu. Znajdował się tam również mostek, przez który chodziło się do jej cioci. Pani Czesia powiedziała nam, że podczas wycieczki do Wołkowa, gdy zobaczyła ten mostek, zaczęła krzyczeć do kierowcy, by stanął, bo tu mieszkała jej ciotka. Natomiast dom naszej rozmówczynie stał na górcie, na której rosła czeremcha. Z górki tej kulała się mała Czesia podczas zabaw. Pani Stefanowicz z domu swojego pamięta tylko jedno pomieszczenie, w którym wie, co gdzie stało i jak wyglądało. Gdy pojechała tam, to też tylko weszła do tego pokoju, gdyż inne ją nie obchodziły, chciała tylko zobaczyć ten, który pamiętała. Pani Czesia wspominała również, że ciągle się pytała swoich sióstr, czym była kryta ich chata, gdyż myślała, że słomą, ale okazało się, że dachówką.

Bohaterka naszego wywiadu stwierdziła, że jest dzieckiem wojny, czyli że przedwojennych czasów nie pamięta, tylko te z okresu wojennego. Pani Stefanowicz wspomniała także o bombardowaniu Lwowa. Pamięta, jak palił się ich budynek gospodarczy, ona była zanesiona na pole kukurydzy, a dorośli gasili pożar. Nasza rozmówczynie opowiedziała nam również o spotkaniu z Niemcami. Było ich dwóch, ubranych w mundury, dali jej cukierki i głaskali ją pogłowiem, a jej mama w tym czasie poszła i złapała kurę, następnie im ją dała i oni sobie poszli. Pani Czesia mówiła nam o bandach, których każdy się bał. Ludzie chowali się do schronów, a dorośli pilnowali wejść. Najstraszniejsza rzecz, jaką pamięta z tamtych czasów, to widok wiszącego człowieka na słupie telegraficznym.

Nasza rozmówczynie wspominała nam także o Świątce Jordanu, które było obchodzone zimą przez Kościół prawosławny. Uroczystość zaczynała się od pochodu procesji z cerkwi nad rzekę, a kończyła się święceniem wody z rzeki przez popa.

Święta Bożego Narodzenia spędzane przez naszą bohaterkę rozpoczynały się od adwentu. Wyciągało się ze strychu lub mebli bombki, różne świąteczne dekoracje, a potem robiono przeróżne łańcuchy oraz cukierki

z buraczków i marchewki zawinięte w złotka po innych słodkościach, które zbierano przez rok. Na choinkę, zwaną drzewkiem, wieszano również jabłka i orzechy. Ubierało się ją zawsze w Wigilię, nigdy wcześniej. Przed świętami również przebierano pszenicę na kutię, która była rozsypywana na stół, wokół którego wszyscy siadali i oddzielali plewy od zboża. Do potraw, które gościły na tamtych stołach, zalicza się m.in. gołąbki, uszka, różnego rodzaju pierogi, barszcz, placki, strucle i inne postne dania gotowane do dzisiaj. Tak samo jak teraz również wkładano sianko pod biały obrus i przygotowywano dodatkowy talerz dla wędrowca. Opłatek zawsze był smarowany miodem, którym głowa rodziny częstowała każdego od najstarszego do najmłodszego i składała im życzenia. Przynoszono również słomę, w której bawiły się dzieci, zajadając owoce i słodczyce otrzymane od starszych osób. W kącie stawiano dziada (snop z owsa), gdzie wkładano wigilijne jadło.

Podróż do Polski pani Czesi zaczęła się od stacji pod Lwowem. Jechało się bydlęcym wagonem, w którym były zwierzęta i mnóstwo worków, na których spano. Przez wyłamane deski podczas transportu było widać rozwijające się gałązki drzew, nadchodziła wiosna. W momencie kiedy pociąg się zatrzymywał, kobiety szybko wychodziły i na żelaznych trójnogach gotowały coś do spożycia. „Podczas podróży przyszło nam obchodzić Wielkanoc. Na postoju wszyscy ustawili się wzdłuż wagonów, a ksiądz z procesją poświęcił pokarm przygotowany przez mamy. Następnie pociąg przyjechał do Kołczyna nad Odrą, który był całkowicie spalony. Dalej pojechaliśmy do Kołczyna, skąd wszyscy zaczęli się rozchodzić szukając gospodarstw. Podróż ta trwała około trzech długich i męczących tygodni” – opowiadała. Po osiedleniu ludzie zaczęli uprawiać rolę. Pani Stefanowicz zamieszkała wraz z rodziną w domu zamieszkanym kiedyś przez Niemców.

W pierwszych dniach pobytu w nowym domu na podwórko pani Czesi weszła starsza, niewidoma kobieta pochodzenia niemieckiego. Do-

tykała ona muru domu, mówiąc ciągle: „Warum? Warum?”, co oznacza „dlaczego”. Po jakimś czasie owa staruszka zniknęła.

Pamiątką, którą przywiozła pani Czesia do Słońska, był obraz, na którym znajdowało się serce Jezusa i Maryi otoczone herbami. Został również przywieziony drewniany krzyżyk i figurka Matki Boskiej, niestety te rzeczy nie zachowały się do dzisiaj. Te, które nadal posiada pani Stefanowicz, to modlitewnik i kantyczka. Jedną z głównych rzeczy przywiezionych ze Wschodu był również biały talerz z czerwono-białą obwódką, który ma wielką wartość dla pani Czesławy i jej rodziny.

Pani Stefanowicz bardzo wyczerpująco i z uśmiechem na twarzy odpowiadała na nasze pytania. Dzięki niej dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy o Kresach Wschodnich, które były ojczyzną nie tylko naszej rozmówczyni, lecz także wielu innych mieszkańców Słońska.



*Czesława
Stefanowicz, 2008*

Rozmawiały: Kamila Komarnicka i Monika Śliwińska





III. Województwo nowogródzkie

Województwo nowogródzkie – zostało utworzone po podpisaniu pokoju ryskiego z 18 marca 1921 roku, zlikwidowane przez okupacyjne władze radzieckie 17 września 1939 roku. Siedzibą władz województwa był Nowogródek. Początkowo dzieliło się na powiaty: Baranowicze, Wilejka, Wołożyn, Disna, Duniłowicze (w 1925 r. przeniesiono powiat do Postaw), Lida, Nieśwież, Nowogródek, Słonim. Ostatecznie w latach trzydziestych XX wieku w skład województwa wchodziły powiaty: Baranowicze, Lida, Nieśwież, Nowogródek, Słonim, Stolpce, Szczuczyn i Wołożyn.

1. SMAKI DZIECIŃSTWA

– opowieść Jana Kościuka

Moja droga na Ziemię Odzyskaną. Nazywam się Jan Kościuk, urodzony 29 marca 1920 roku w Bielakach, gmina Rohotna, powiat Słonim, województwo nowogródzkie, na terenie dzisiejszej Białorusi. Pochodzę z pięcioosobowej rodziny. Oprócz rodziców i mnie były jeszcze dwie młodsze siostry, Hela i Wanda. Mój ojciec był leśnikiem (podobnie jak dziadek) i mieszkaliśmy całą rodziną, z dziadkiem i babcią, w leśniczówce. Żył nam się w miarę dobrze. Kilka lat przed wybuchem wojny mój dziadek zmarł (pogryzł go wściekły wilk), a mój ojciec stracił posesję leśnika i musiał się przenieść do wsi. Kupił dom i kilka hektarów ziemi

i zajął się gospodarstwem rolnym. Mama z babcią zajmowały się prowadzeniem domu, wychowywaniem dzieci i pracą w polu.

Jak wyglądał mój dom rodzinny? Najpierw była to stara chałupa z jedną izbą i piecem, bo na taką było stać mojego ojca. A w 1939 roku ojciec i ja zbudowaliśmy nowy dom.

Dom był cały z drewna i miał już 2 pokoje, kuchnię i dużą werandę. Ten dom stoi do dziś i mieszka w nim moja siostra Wanda. Meble do tego domu też zrobiliśmy sami, bo mój ojciec był zdolnym człowiekiem. Były to podstawowe meble: łóżka, stół, ławy, szafa.



*Jan Kościuk z żoną Jadwigą,
lata sześćdziesiąte*

Wieś, w której mieszkaliśmy, była mała. Zamieszkiwali w niej głównie Białorusini. Polskich rodzin było tylko kilka. We wsi była czteroklasowa szkoła, w której uczyła tylko jedna nauczycielka. Nie było natomiast kościoła ani cerkwi. Do kościoła musieliśmy jeździć, oczywiście konno, około 7 km do Rohotna. Natomiast po szkole czteroklasowej trzeba było chodzić do dziesięciolatki do Jawora, to było w odległości 3 km od Bielaków.

W czasie mojej młodości, przed wojną, nie mieliśmy zbyt dużo czasu wolnego dla siebie, jako dzieci. Trzeba było pomagać rodzicom w gospodarstwie. Po szkole, latem, musieliśmy paść krowy lub owce, pomagać w polu. Zimą natomiast chłopcy i mężczyźni młócili cepami zboże. Kobiety i dziewczyny przędły kądziel, darły pióra gęsie lub tkwały na krosnach. Wszystko trzeba było zrobić ręcznie, samemu, od utkania tkaniny do uszycia. Zdarzały się też wolne chwile. Latem najczęściej graliśmy w dwa ognie lub graliśmy w czterokamiuszki.

Zimą bardzo lubiłem jeździć na nartach (oczywiście ojciec mi je zrobił). Lubiałem też chodzić nad rzekę i łowić ryby. Jakie tam pływały pstrągi!

Jak się żyło przed wojną? Trudno, ciężko. Trzeba było liczyć się z każdym groszem. Mój ojciec musiał spłacać pożyczkę do Kasy Stefczyka, którą wziął na kupno drewna na dom, trzeba było płacić podatki. Podstawowe produkty żywnościowe to te, które pochodziły z upraw. Były to ziemniaki, kapusta, ogórki, pomidory, groch, cebula, olej lniany. Jadaliśmy takie potrawy jak np. cebulę zalaną olejem lnianym, placki gryczane smarowane sadłem, śledzie z cebulką i olejem lnianym, kisiel robiony z owsianej mąki z sacharyną lub mielonym makiem (utartym w makutrze), kompot lub kisiel z żurawiny albo zmrożonej jarzębiny. No i mięso: wieprzowinę lub baraninę. Jajka, śmietaną, masło czy sery – matka najczęściej sprzedawała w mieście lub dla Żydów (mieli swoje sklepy), bo trzeba było kupić naftę, sól, zapalki, igły czy inne produkty codziennego użytku.

W święta Bożego Narodzenia koniecznie musiała być choinka. Ozdoby robiło się samemu. Najczęściej były to łańcuszki robione ze słomy i kolorowego papieru. Robiło się też aniołki. Sukienki były z kolorowego papieru, a główki się kupowało. Zamiast dzisiejszych bombek robiło się kolorowe jeżyki. Na czubku choinki musiała być gwiazda, która była duża i kolorowa.

Na wigilię przygotowywało się najczęściej śledzie, groch z kapustą, obowiązkowo kutię z miodem, kluski z makiem, łamańce z miodem, smażyło się chrusty, kompot z suszonych owoców. Moja mama piekła też ciasteczka. Robiło się zakwas z żytniej mąki i dodawało pszennej. Wykrawano je foremkami o różnych kształtach (choinki, króle z koroną, żołnierzyki, gwiazdki i inne). Były bardzo dobre. Bardzo je wszyscy lubiliśmy. Piekło się też ciasto drożdżowe i na sodzie oczyszczonej. Obowiązkowo musiała też być szynka pieczona w chlebie, no i pojawiał się cukier w kostkach, który był bardzo drogi.

Wybuch wojny, czas okupacji i wyjazd do Polski. Hitler wkroczył na Białoruś w 1941 roku. W mojej wsi nie było widocznych oznak walk wo-

jennych. Przechodziły wojska niemieckie i rosyjskie. W pobliskich lasach skrywali się partyzanci. Natomiast w miejscowości Zdzięcioł położonej 8 km od Bielaków mieszkało dużo ludności żydowskiej i tam w czasie okupacji Niemcy utworzyli getto. Przed zakończeniem wojny getto zostało zlikwidowane, a co stało się z ludnością – nie wiem. Moja wieś w czasie wojny zbyt nie ucierpiała.

Po zakończeniu wojny, z ojcem postanowiliśmy, że wyjadę do Polski i zorientuję się, jak tu jest i gdzie można zamieszkać. W 1945 roku ojciec złożył moje dokumenty w konsulacie polskim w Słonimie w sprawie wyjazdu do Polski. W tym czasie złożył też dokumenty mój kolega Bielatko. Po otrzymaniu odpowiednich papierów obaj wyruszyliśmy do Polski.

Wsiedliśmy na dworcu kolejowym w miejscowości Nowojelnia i dojechaliśmy do Baranowicz. W Baranowiczach dołączyliśmy do transportu jadącego do Polski. Był to bardzo długi skład pociągu – ze 30 wagonów. Pociągiem tym jechało wszystko – cały dobytek ludności (konie, krowy, owce, siano, przedmioty codziennego użytku). Z Baranowicz dojechaliśmy do Brześcia – tam dokonano kontroli dokumentów i pojechaliśmy w kierunku Warszawy. Pamiętam przejazd przez Wisłę, drewnianym mostem, po którym pociąg ledwie się toczył. Tu też witaliśmy Nowy Rok 1946. I dalej jechaliśmy do Poznania, następnie przez Piłę do Złocieńca (dziś woj. zachodniopomorskie). Tu nastąpiło rozwiązanie transportu. Do Polski jechaliśmy ponad miesiąc.

W Złocieńcu znalazłem pokój u bardzo sympatycznych ludzi. Ludzie ci pomogli mi również znaleźć pracę. W pobliżu Złocieńca we wsi Wierchowu była jeszcze czynna fabryka mebli. Zostałem tam zatrudniony jako zaopatrzeniowiec. Jeździłem głównie do Koszalina po różne części do mebli. Po pewnym czasie zmieniłem pracę, bo stosunkowo niewiele zarabiałem. Znalazłem pracę na miejscu, na kolei, jako toromistrz. Jak już poznałem miejscowość, to poznawałem coraz więcej ludzi. I wiosną 1946 roku poznałem moją przyszłą żonę Jadwigę. W październiku

1946 roku wzięliśmy ślub w kościele w Złocieńcu. Z listów od mojej rodziny dowiedziałem się, że rodzice na razie nie planują przyjazdu do Polski w obawie przed powrotem granic sprzed wojny. Ojciec poinformował mnie również, że wrócił z zesłania z Archangielska mój stryj Paweł, który zamieszkał w Polsce



Państwo Kościukowie, 2010

w miejscowości Tylewice koło Wschowy. Po licznej korespondencji i wielu zaproszeniach postanowiliśmy z żoną wyjechać do mojego stryja. Było to małżeństwo bez dzieci, mieszkali w domku jednorodzinnym, więc na początek małżeństwa był to dobry układ. Ja znalazłem sobie pracę w cukrowni we Wschowie, a żona pomagała stryjence. Tam urodziła się nasza pierwsza córka Teresa. Mieszkało nam się dobrze u stryja, ale jednak chcieliśmy być u siebie, w swoim domu.

Do Tylewic przyjeżdżał syn sąsiada, który mieszkał w Słońsku, i poinformował mnie, że jest tu sporo wolnych domów.



Dom rodzinny w Bielakach, 2005

Postanowiłem przyjechać i sprawdzić. Okazało się, że owszem, ale pozamykanych lub pozajmowanych. Na ulicy Winnej był jeden dom do sprzedania. Wyprowadzała się rodzina wojskowych. I tak kupiłem ten dom w którym mieszkam od września 1948 roku. Tu rodziły się moje następne córki Krystyna i Maryla. Tu spędziłem całe swoje dorosłe życie i spędzam swoją starość. Rodzice moi do Polski nie przyjechali, siostry powychodziły za mąż i pozostali wszyscy na Białorusi. Po wojnie byłem tam kilka razy. Odwiedzałem moją rodzinę i moje rodzinne strony. Ostatni raz byłem w 2005 roku. Nie poznawałem miejscowości. Bardzo mocno się zmieniło. Niestety na niekorzyść. Ludzie poumierali, chałupy stoją puste. To już nie to miejsce. Czy chciałbym tam mieszkać? Raczej nie. Nie wyobrażam zresztą sobie, że mógłbym mieszkać gdzie indziej. Tylko w Słońsku. Pozostał jedynie sentyment do tamtych stron.

Spisała: Teresa Kościuk

2. BABCIA MOJEGO PRZYJACIELA

– Zofia Stachniuk

Wydawało nam się, że znamy naszą wieś i jej mieszkańców. Tak było do czasu, gdy z moim przyjacielem poszliśmy do jego babci. Zapragniśmy być dziennikarzami, chcieliśmy przeprowadzić prawdziwy wywiad prasowy. Babcia Radka Stachniuka, pani Zofia, to pogodna, uśmiechnięta kobieta. Przyjęła nas bardzo serdecznie. Przy gorącej herbacie i świetnych ciasteczkach popłynęła opowieść.

–Ja i moi rodzice mieszkaliśmy na Białorusi w miejscowości Mir koło Mińska. Gdy wyjeżdżaliśmy do Polski, miałam dwa latka. Pamiętam jednak opowieści rodziców, bo bardzo interesowałam się rodzinną przeszłością. Podróż trwała dwa tygodnie. Tato chciał mieć gospodarstwo rolne, dlatego postanowił wysiąść na ostatniej stacji. Była to stacja w Słońsku. Kolejarz powiedział, że pociąg dalej nie pojedzie, bo Kostrzyn jest za bardzo zniszczony. Tutaj dostaliśmy duże gospodarstwo niedaleko kościoła. Tato był byłym wojskowym.

–Dlaczego zdecydowaliście się opuścić rodzinny dom?

–Jeden z urzędników rosyjskich ostrzegł mojego tatę, że niedługo przez kolchozy będzie wielka bieda. Kolchozy to takie PGR-y, wielkie spółdzielnie, gdzie

„wszyscy razem się utrzymują, a połowa majątku idzie do państwa”. No i nie chcieliśmy być obywatelami Związku Radzieckiego.

– Tutaj byli ludzie z różnych stron Polski, np. z Warszawy, a także z Ukrainy, Białorusi i Litwy. Z ludźmi na początku było tzw. docieranie się – jeden do drugiego nie miał zaufania. Z czasem wszystko się unormowało. Życie towarzyskie było lepsze niż dzisiaj. Dużo ludzi przychodziło do nas, mężczyźni grali w karty, kobiety rozmawiały lub przędły. Pamiętam, że ojciec kupił radio na czarnym rynku i słuchał Wolnej Europy. Tam krytykowano Rosjan i w ogóle komunizm. Głównie z tego powodu radia były zakazane.

–Jeśli ktoś nie był w kolchozie, to już nie musiał współpracować z państwem?

–Niestety nie. Władze wprowadziły obowiązkowe dostawy – „kontyngenty”. Po prostu zabierali ludziom część zwierząt, żywności lub maszyn na potrzeby państwa, ale ja myślę, że wojska.



Rodzina Pani Zofii w Mirze

– Mojemu tacie brakowało konia do prac gospodarskich. Do zaprzęgu używał byka, do czasu, gdy wymienił go z sąsiadem na konia. Pierwszy sprzęt, jaki mieliśmy, to były maszyny z kółka rolniczego. Chłopi jednoczyli się po to, by wzajemnie sobie pomagać w pracach rolniczych. Praca była lżejsza, ale i tak to nie to, co dzisiaj.

– Czy ktoś z rodziny został na Kresach?

– Tak, wyjazdowi sprzeciwiła się najmłodsza siostra ojca i została w Mirze. Tam było bardzo ciężko, więc wysyłałam jej paczki z żywnością: cukier, mąkę i inne artykuły, nie tylko żywnościowe. A u nas też nie było lekko. Kiedyś, wracając od koleżanki, widziałam jak „ubowcy” zaglądali do okien i podśuchiwali rozmowy. Sprawdzali też, czy ktoś nie słucha radia. Ojciec miał dobrze ukryte to nasze okno na świat.

– Pozostały jakieś pamiątki z przeszłości?

– Kiedyś nie było takiego zwyczaju, żeby chować coś dla potomności. Chociaż, może jednak coś znajdę. O, proszę zdjęcie z czasów, gdy byliśmy w Mirze. Mnie jeszcze tu nie ma, bo się jeszcze nie urodziłam. Tu jest dokument aktu małżeństwa moich rodziców. Mam nawet książeczkę wojskową mojego ojca. Kiedyś częściej odwiedzali nas bliscy z Białorusi, np. ciotka Janka. Często wspominaliśmy dawne czasy. Mir miał ok. 2,5 tys. mieszkańców i liczba ta nie zmieniła się do dziś. W Mirze jest zamek Radziwiłłów, stary cmentarz katolicki i żydowski, dwie cerkwie Bazylianów i św. Jerzego. Mir to przepiękna miejscowość niedaleko stolicy Białorusi.

– Dziękujemy, nie spodziewaliśmy się, że usłyszymy tak wiele ciekawych rzeczy.

Po tej rozmowie, gdy idziemy przez naszą wieś, inaczej już patrzymy na mijane przez nas starsze osoby. W nich zamknięty jest kawałek historii Naszej Małej Ojczyzny.



Zofia Stachniuk, 2011

Rozmawiali: Paweł Ilnicki i Radosław Stachniuk



IV. Województwo poleskie

Województwo II Rzeczypospolitej utworzone 19 lutego 1921 z siedzibą w Pińsku. Po pożarze miasta w sierpniu 1921 r. stolicę przeniesiono do Brześcia Litewskiego, przemianowanego 20 marca 1923 r. na Brześć nad Bugiem.

W 1921 r. województwo składało się z 10 powiatów, 17 miast i 113 gmin.

1 stycznia 1923 r. z części gmin powiatów łuninieckiego, sarnieńskiego i pińskiego utworzono nowy powiat stoliński. 16 grudnia 1930 r. województwo zmieniło swoje granice – do województwa wołyńskiego przyłączono powiat sarnieński.

1 kwietnia 1935 r. powiat kosowski przemianowano na iwacewicki.

W wyniku paktu Ribbentrop-Mołotow województwo poleskie znalazło się w granicach ZSRR. Jego południowa część z Kamieniem Koszyrskim została włączona do Ukrainy radzieckiej, północna część zaś – jako obwody brzeski i piński – do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

1. CUDOWNY OBRAZ

– opowieść o Aleksandrze Bułczyńskiej

Chcę ocalić od zapomnienia opowieści mojej mamy o latach jej dzieciństwa i młodości. Mama moja Aleksandra Bułczyńska, z domu Pryputniewicz, urodziła się 9 stycznia 1927 roku w Łohiszynie, obecnie Łahiszyn, miejscowości położonej w odległości 28 km od Pińska w rodzinie chłopskiej. Łohiszyn to taka polska wyspa na Polesiu. Położony

wśród bagien Zajasiołdzia, gdzie wspólnie mieszkali Polacy – katolicy oraz Żydzi. Jednak Polacy stanowili większość. Natomiast Białorusini – *mużyki*, jak ich nazywano potocznie, mieszkali w okolicznych wsiach. Dziwna to była społeczność – miała swój język, który stanowił mieszanię polskiego, białoruskiego, ukraińskiego, i nim właśnie posługiwali się na co dzień. Był to ich język chachłacki.



*Zdjęcie ślubne Aleksandry
i Bronisława Bulczyńskich*

Mama miała czworo rodzeństwa – trzy siostry: Marysię, Jankę, Annę, i brata Michała. Była najstarsza z rodzeństwa. Rodzice mojej mamy Aleksander i Ewa Pryputniewicz, z domu Juszkiewicz, posiadali 12-hektarowe gospodarstwo rolne, w tym 5,5 ha ziemi ornej, gdzie uprawiali len, proso, hreczkę, kartofle i warzywa, 5,5 ha łąki oraz 1,5 ha pastwiska z kwitnącymi niezabudkami oraz dom o dwóch izbach kryty słomą, oborę, stodołę i świronok. Hodowali krowy, świnie, owce, kury i gęsi. Z zebranego lnu tłoczono własny olej, natomiast słomę obrabiano tzn. robiono z niej surowiec do krosien, a następnie tkano nastylniki, ruczniki, płótno, z którego szyto soroczki, prostyny. Wieczorami kobiety spotykały się na wyczorkach, zakładały kądziel do potiasza i przędły na wereteno przędzę, z której następnie wyrabiano na drutach swetry, czapki i skarpety.

Najbardziej utkwiała mi w pamięci historia kościoła katolickiego oraz księży, którzy sprawowali posługę kapłańską w tym kościele, a byli to ks. Zieja i ks. Kazimierz Bogusz. Miał ten kościół cudowny obraz Matki Boskiej, tak bardzo czczony przez lud i szlachtę, iż nawet senat opiekował się nim, nadając najrozmaitsze przywileje, takie jak zwolnienie dóbr kościelnych od wszelkich podatków. Cudowny obraz Matki Bożej

Łohiszyńskiej ma swoją historię. W czasie najazdów szwedzkich jeden z oddziałów, cofając się, zatrzymał się w Łohisynie. Oficer oddziału, Hababurda, zamieszkał w domu sekretarza miasta Maliszewskiego. Wiózł on obraz Matki Boskiej z dzieciątkiem bogato ozdobiony. Zawinięty w płótno. Postawił w sieni obok drzwi, tak że otwarte drzwi zakrywały obraz. Kiedy nagle przyszedł rozkaz wymarszu, zapomniał o obrazie stojącym za otwartymi drzwiami. Po wyjeździe Szwedów Maliszewscy zauważyli obraz stojący za drzwiami w porozumieniu z innymi mieszkańcami zanieśli obraz do kościoła, gdzie bardzo szybko zaśląnął wieloma cudami. Szczególnym cudem było ocalenie kościoła po wielkim pożarze, który zniszczył domostwa dookoła kościoła. Po powstaniu styczniowym prawosławni zabrali kościół i zamienili na cerkiew, obraz tam pozostał. Po wybudowaniu nowej cerkwi prawosławni przenieśli tam obraz, gdzie był otoczony wielką czcią nie tylko przez prawosławnych. Katolicy też przychodzili do cerkwi, aby pomodlić się przed cudownym obrazem. Kościół zwrócono wiernym, którzy musieli go przenieść na cmentarz grzebalny. Tam jednak spłonął i wierni przez kilka lat byli bez świątyni. Katolicy pamiętali jednak, że to ich obraz. Przekazywali z pokolenia na pokolenie, że obraz, który znajduje się w cerkwi, jest z ich kościoła, tzn. jest nasz. Nowy kościół zaczęto budować w 1905 roku po wydaniu ukazu carskiego o tolerancji religijnej. W czasie, kiedy posługę pasterską sprawował ksiądz Kazimierz Bogusz, powstała myśl przeniesienia obrazu z cerkwi do kościoła katolickiego. Wszyscy wiedzieli, że prawosławni nie oddadzą obrazu dobrowolnie. Młodzi chłopcy wpadli na pomysł, aby zabrać obraz z cerkwi, by nikt nie wiedział i nie widział. Do cerkwi dostali się przez okno dzwonnicy i podając jeden drugiemu, wynieśli go z cerkwi. Ukryto obraz w kościele na sklepieniu, a następnie wysłano obraz do odnowy w Warszawie. Po renowacji biskup Buka-



*Aleksandra
Bułczyńska, 1990*

raba przywiózł obraz do Łohiszyna, gdzie uroczyście był witany przez katolików i prawosławnych. Obraz został zawieszony w głównym ołtarzu kościoła katolickiego. Dla uczczenia cudownego obrazu Matki Boskiej Łohiszyńskiej ułożono modlitwę i pieśń opiewającą historię obrazu.

Słowa modlitwy przekazała mi moja mama. Nie pamiętała, kto ją ułożył. Wiadomo, że była przekazywana kolejnym pokoleniom.

Modlitwa do Matki Bożej Łohiszyńskiej

Najświętsza Panno w Łohiszyńskim obrazie ratuj nas Matko

w tym ciężkim razie

Dodaj nam rady, dodaj nam pomocy od złych ludzi i nagłej złej srogi

Nie opuszczaj Matko z opieki swej, nie daj nam zginąć nędznej duszy mej

Z młodych lat ty nas wszędzie szanowałaś na koniec szaleński początek wyrwałaś

Wyrwij nas teraz z ciężkiego frasunku, dodaj nam Matko swojego ratunku

Skrusz serca harde na lwa srogiego na smoki jadą nacierając jego

Miłość nie prawdą, módl się za nami to ja grzeszna Matko, zmiłuj się Matko,

zmiłuj się nad nami.

Oczy do nieba podnoszę Maryja swymi cudami na cały świat słynie.

Amen

Tę modlitwę odmawiała moja mama, będąc w szpitalu, i na szczęście udało mi się zanotować jej treść.

Przytoczę również słowa pieśni o nieznanym dacie pochodzenia, którą poprawił ksiądz Zieja i rozpowszechnił w formie broszury w diecezji pińskiej w 1938 r.

Pieśń o Najświętszej Maryi Pannie Łohiszyńskiej



Cudowny obraz

*Najświętsza Panno w Łahiszyńskim obrazie
W kościele zostajesz, widzieć się dajesz.
Widzimy ze łzami, do Ciebie uciekamy
Chowaj nas u Syna Panno Jedyna!*

*Od ruiny szwedzkiej w Łahiszynie zostałaś
I w szwedzkich rękach sobie spodobałaś;
Przez Hałaburdę byłaś gdzieś tam wzięta,
Matko Przepczysta, Panienko Święta!*

*W domu Maliszewskich byłaś zapomniana,
Od przeszłych mieszczan do kościoła dana;
I teraz zostajesz jako w jasnym niebie,
My grzeszni ludzie prosimy Ciebie.*

*Jednego czasu gdy miasto paliło,
I z dymem iskry na kościół waliło,
Już i przysady kościelne gorzały;
Ogniem żarczystym do dachu nie tknęły*

Matko i Panno swemi łaskami

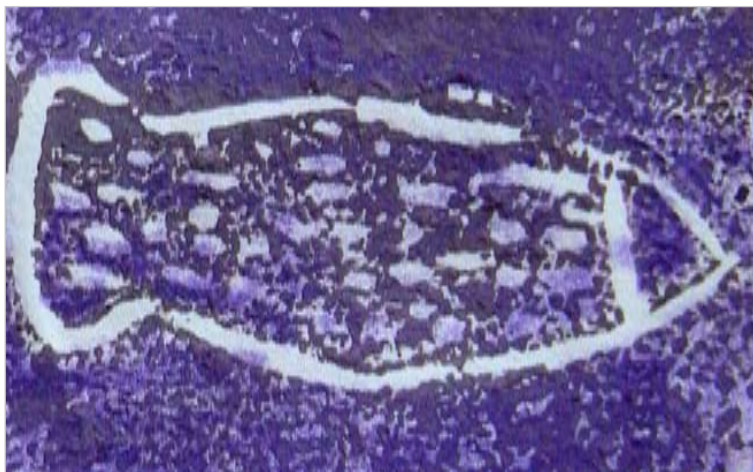
*Okryłaś płaszczem i naszemi łzami,
Boś bez nadziei kościół ocaliła;
Swemi cudami Tyś to sprawiła.*

*Tę Monarchinię dawno poznali
Chorzy i kalecy, gdy zdrowymi stali;
Nędzne sieroty, wdowy i mężatki
Miały wyżywienie jak u swojej matki.*

*Prośmy w zakonie księdza Łahiszyńskiego,
Żeby nam przeczytał opisanie tego,*

*Żeby nam ogłosił wszystkim tu w kościele;
Niech młody lud nasz pozna te dzieje
Teraz my wszyscy głowy skłaniajmy,
Najświętszej Pannie modły składajmy,
By nam uprosiła w niebie swego Syna
Żeby tu nie była żadna ruina.
Boże Najświętszy we trzech osobach,
Błogosław lud ten we wszech sposobach,
Byśmy tu żyjący Ciebie wychwalali,
Po śmierci wiecznie w niebie zostali*

Teresa Radowska



2. BUTY SZCZĘŚCIA

– opowieść Zbyszka Dmitruka

Obutach powstało wiele różnych opowieści i bajek, ale para butów, która znajduje się na Wystawie Pamiątek Regionalnych w Słońsku, jest prawdziwą parą butów szczęścia.

Opowieść Zbyszka Dmitruka byłego mieszkańca Słońska o butach babci.

Urodziłem się w Słońsku, gdzie wkrótce po ślubie – w roku 1946, zamieszkali moi rodzice: Zofia i Kazimierz Dmitrukowie wraz z rodzicami mojego ojca.

Moja babcia Emilia, matka ojca, była jak każda chyba babcia, trochę czarodziejką. Gdy nie mogłem zasnąć, śpiewała mi kołysankę

Szoł Baj po stienie

W czerwonom kaftanie.

Nióśł sześcioro par łapciej

Dla siebia, dla żeny

I dziecionku po łapcionku

Ci Baj, ci nie?

Odpowiedzieć trzeba było *tak* albo *nie* i babcia zaczynała od nowa.

Ty mówisz tak ja mówię nie

Szoł Baj po stienie...

Działanie kołysanki było niesamowite – sen przychodził bardzo szybko. Może dlatego, że Baj niośł buty dla wszystkich członków rodziny? Nie wiem, czy łapcie niesione przez Baja z kołysanki były butami szczę-

ścia. Ale wiem, że takie buty, choć wyglądające niezwykle skromnie, zwykłe łapcie, były butami szczęścia dla moich dziadków.



Moja babcia Emilia i dziadek Franciszek urodzili się w miejscowości Krewczyce, w powiecie pińskim, województwo poleskie.

Pochodzili z biednej rodziny, poznali się *postoły szczęścia* w trudnych czasach, tuż po wojnie polsko-bolszewickiej. Nędza i głód były okrutne, lecz cały świat i jego problemy odeszły od zakochanych w głęboką dal. Liczyło się tylko pragnienie bycia razem. Byli tak biedni, że nie mieli nawet butów, w których można by było iść do ślubu i dziadek dla swojej Emilii zrobił postoły. Babcia ubrała je na ceremonię ślubną. Po ceremonii babcia zdjęła te łapcie z nóg, zawinęła w swoją kolorową chustę i zaczęła je traktować jak talizman lub jakąś relikwię. Jak w domu stało się jakieś nieszczęście, babcia Emilia siadała w rogu chaty, rozwijała chustę i zaczynała modlić się nad tymi łapciami, podobnie robiła, kiedy w domu układało się wszystko dobrze.

Dziadkowie przyjechali do Słońska wraz z moimi rodzicami w 1946 roku. W tobołkach mieli najcenniejsze rzeczy. Wśród nich także ich skarb – łykowe łapcie.

Tą historię o postołach znam z opowiadań mojego taty. Było to tak: raz chciałem te łapcie wyrzucić, tata powiedział: *Nie! Póki ja żyję, mają zostać w domu!* I opowiedział mi ich historię.

Łapcie ocalały – znajdują się obecnie w gablocie, na Wystawie Pamiątek Regionalnych w Słońsku. Ocalały cudem, ponieważ przypadkowo spotkałem dawnego mieszkańca Słońska Zbyszka Dmitruka i wysłuchałem jego opowieści. Dałem mu słowo, że jego ukochane łapcie babci będą na wystawie do końca świata.

A zwiedzającym wystawę, gdy się dobrze wsłuchają w ich szept, łapcie szczęścia mówią: *Śluchaj i zapamiętaj! – miłość przewyciężyła wszystkie trudy. Franciszek dał mi je prosto z serca, ja Emilia przyjąłam je z otwartym sercem – prawdziwa miłość zwycięża wszystko. Miłość jest nieraz jak stłuczony gliniany garnek – rozpada się na setki cząstek – jest to miłość słaba. Miłości dobrze skleionej nigdy nikt nie rozbije.*

Spisał: Henryk Radowski



3. SYN MŁYNARZA

– *historia Bronisława Juszkiewicza*

Mój dziadek – Bronisław Juszkiewicz – urodził się 6 października 1921 roku w Łohiszynie i mieszkał tam do 1945 roku. 27 sierpnia 1945 r., mając 24 lata, wyjechał do Polski jako repatriant. Najpierw przybył w lubelskie powiat Radzyń, m. Przyłuki, potem w kwietniu 1946 r. przyjechał do Słońska i mieszka tu do chwili obecnej. 27 maja 1951 roku w Niedamowie zawarł związek małżeński z Bronisławą, z domu Łobaczewską – w tym roku przypada 60. rocznica ich ślubu. Ma czworo dzieci, dziesięcioro wnuków i jedną prawnuczkę.



Broniek Juszkiewicz (pierwszy z prawej)

Kamil: Dziadku, powiedz, jak żyło się w Łohiszynie?

Bronisław Juszkiewicz: Łohiszyn to miejscowość położona 28 km na północ od Pińska, województwo poleskie, na terenach dawnej Polski. Przed wojną Łohiszyn był miastem, w którym rządził burmistrz, obecnie jest to wieś, w której zamieszkuje około 4000 mieszkańców. W tej miejscowości mieszkali Polacy oraz kilkanaście rodzin żydowskich. W Łohiszynie był kościół, cerkiew, bożnica żydowska, urząd, remiza strażacka, szkoła podstawowa siedmioklasowa, ośrodek zdrowia, apteka, sklepy prywatne prowadzone przez Żydów.

Mieszkałem z rodzicami Janem i Anielą, rodzeństwem: Marcelą, Anną, Michałem, Janiną i Aleksandrą, oraz z dziadkami Michałem i Franciszką.

Moja mama zmarła, gdy miałem 12 lat, a najmłodsza siostra Aleksandra miała wtedy pół roku. Większość obowiązków spoczywała na mnie, ponieważ byłem z rodzeństwa najstarszy, wychowywała nas babcia Franciszka.

Kamil: Jak wyglądał dziadka dom rodzinny?

Bronisław: Mieszkaliśmy przy ulicy Piaski Pierwsze, w domu zbudowanym z drewna. Mieliśmy w tym domu dwie izby (kuchnia i pokój) oraz spiżarnię. Mieszkanie ogrzewaliśmy piecem chlebowym, który był połączony z pokojem. Wokół domu mieliśmy piękny, duży sad, w którym przeważały wysmienite grusze pod nazwą „Złotobery”, były ogromne i smaczne.

Kamil: Czy dziadek chodził w Łohiszynie do szkoły?

Bronisław: Do szkoły podstawowej w Łohiszynie chodziłem w latach 1928–1935. Bardzo lubiłem się uczyć, najlepszym przedmiotem była matematyka. Czytałem dużo książek, które wypożyczałem w bibliotece. Wszystkich książek do nauki nie posiadałem, pożyczaliśmy sobie między kolegami. Natomiast zeszyty miałem wszystkie, do każdego przedmiotu.

Kamil: Z czego się utrzymywała dziadka rodzina?

Bronisław: Mój dziadek prowadził 14-hektarowe gospodarstwo rolne, na tym gospodarstwie pracowali rodzice i rodzeństwo. W późniejszych latach dziadkowie przepisali gospodarstwo rodzicom, a następnie mnie. Gospodarstwo to było prowadzone z dziada pradziada. Utrzymywaliśmy się z inwentarza żywego: mieliśmy bydło, świnie, drób, owce, konie, pasiekę pszczelą. Dużo produktów mieliśmy z własnego gospodarstwa.

Mój ojciec był stolarzem, pobudował młyn drewniany na wiatrakach, w późniejszych latach ze współnikami wybudowali młyn na ropę, po którą musieli jeździć jeden raz w tygodniu do Pińska odległego o 28 km. Było to bardzo uciążliwe, więc zdecydowali, że przerobią młyn na gaz. Maszyny i urządzenia do tego młyna sprowadzili ze Szwajcarii. We młynie mieliliśmy zboże dla ludzi, ja także tam pracowałem.

Kamil: Jakie potrawy dziadek pamięta z dzieciństwa?

Bronisław: Potrawy były urozmaicone, z produktów naszego gospodarstwa. Kasze gryczana i prosiana były parzone, następnie okraszane mięsem i pieczone w brytfannie w piecu chlebowym, miały wyjątkowy smak. Najbardziej lubiłem potrawy mleczne i tuszonce, tj. ziemniaki surowe krojone w plastry duszone z warzywami i mięsem, oraz skwarki mięsne, które były przyrządzane z mięsa, boczku z przyprawami i duszone, jak wspomniałem, w piecu chlebowym. Gotowaniem zajmowała się mama, potem babcia.

Kamil: Jak spędzaliście wolny czas?

Bronisław: Wieczorami ludzie spotykali się w domach, przędli kądziel, śpiewali i żartowali. Natomiast w sobotę robili potańcówki w prywatnych domach i bawili się przy muzyce harmonii do białego rana.

Kamil: A jaki jest kościół w Łohiszynie?

Bronisław: W Łohiszynie jest kościół pod wezwaniem Apostołów Piotra i Pawła, w którym znajdował się cudowny obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus. W roku 1997 uczestniczyłem w uroczystości koronacji. Obraz ten został koronowany papieskimi koronami przez kardynała Kazimierza Świątka i został nazwany „Matka Boża Królowa Polesia” – była to piękna uroczystość, którą wspominam do dnia dzisiejszego. Rocznica koronacji jest obchodzona 10 maja każdego roku.



Kamil z dziadkami, 2011

Rozmawiał z dziadkiem: Kamil Ilnicki



4. MASZYNA DO SZYCIA – ŻYWICIELKA

– opowieść Bronisławy Niedbały

Pani Bronia.

Moja sąsiadka – od zawsze.

Uśmiechnięta, skromna, żywa iskierka.

Na pytanie: skąd Pani bierze te swoje siły witalne, odpowiada – my Poleszuki – mocni ludzie.

Z chęcią umówiła się ze mną na spotkanie o tamtych czasach.

Ktoś powie – każdy człowiek to jakaś historia...

Na ustach zaraz kładzie się pytanie: tylko dlaczego taka smutna i bolesna?

Pani Niedbała przeproszającym gestem rozkłada ręce i prosi o wyrozumiałość nieskładności myśli, bo już i czas, bo już i wiek...

Urodziłam się 11 grudnia 1918 roku. Byłam najstarsza z rodzeństwa. I tak jakoś los pokierował, że ciągle odpowiedzialność i praca. Praca ponad siłę młodej 16-letniej dziewczyny. Ukończyłam sześć klas szkoły podstawowej. W tamtych czasach głównym celem było utrzymać się i przeżyć. Przeżyć, bo wojna, bo bieda, bo bardzo ciężka praca. Pracowałam nawet w cegielni, to było ponad moją siłę. Bawiłam dzieci, szyłam, z lnu tkaliśmy koce, dywany, kołdry. Ojciec nasz był najlepszym krawcem w całym mieście Łohiszyn. Mieszkaliśmy na głównej ulicy. Dom był okazały i dobrze utrzymany.

Kiedy przechodził front; kto u nas nie stacjonował: Litwini, Łotysze, Ruscy, Węgrzy, Niemcy. Wtedy często nocowaliśmy w polu. Łany zbóż ratowały nas swoją obfitością, kiedy uciekaliśmy do lasu.

W lesie to nawet utworzyła się partyzantka. Pamiętam, że zniszczyliśmy niemiecki czołg.

Kiedy myślę o tamtych czasach, to igła i krawiecki fach naszego ojca ratowały nas przed śmiercią, wygnaniem, łagrem. Szył dniami i nocami. Mundury, ubrania, rękawice robocze, wszystko.

Niemcy przychodzili, doceniali gospodarza. Dostawaliśmy kwity żywnościowe.

Mieliśmy duży sad, ogród, pole, las. Wszędzie ład i porządek.

Chowaliśmy trzodę, kury, króliki – całe mnóstwo. Skubaliśmy je i przędło się z tego wełnę.

Dziergałam ciągle coś na drutach albo na szydełku. Byłam sprytna, tak jak mój ojciec, to też ratowało naszą rodzinę przed zagładą, bo bieda była okrutna.

Wojna i front dewastowały wszystko. Kiedyś po ucieczce z domu wróciliśmy, nie było prawie nic. Została tylko maszyna do szycia, która później przywędrowała z nami do Słońska.

Była dziwna cisza, Żydzi wybici w pień, ludzie gdzieś w ukryciu. Wszystko zdziesiątkowane.

My szarzy od kurzu, chudzi jak szczapy. Nie umieliśmy już płakać. Strach i ciągły głód zmieniły nas.

Mnie się wydaje, że nigdy nie byłam dzieckiem, że zawsze byłam dorosła, za wszystko odpowiedzialna.

Pytacie, czy tęsknię, jak widzę z perspektywy czasu, to moje miejsce.

Otóż umiem je pamiętać pięknym, bo naprawdę takie było. Pamiętam duży kościół i cerkiew.

Główna ulica ciągle mi się śniła. Sklepy, restauracje, rzemiosło, przeważnie żydowskie. Żal było wyjeżdżać. Zostawić wszystko. Nie było wyboru.

Pani Bronia zamyśliła się – wiecie, wszystko mi się już miesza.

Tamte czasy, tak odległe wspomnienie, te czasy, trochę dziwne.

Ludzie nie potrafią się radować, uśmiechać.

Odwzajemniam uśmiech, przypominam sobie te lata, 50., kiedy to państwo Jurewicz-Niedbałowie zostali naszymi sąsiadami.

Przywieźli ze sobą charakterystyczne gary – saganę wpuszczaną do połowy płyty kuchennej, paleniskowej. Jeden z saganów był przeolbrzymi w naszych dziecięcych oczach.



Banknot stużłotowy z 1934 r., zachowany w rodzinie pp. Juszczaków

Pan Jurewicz, ojciec pani Broni, gotował w nim raki. Siadywał z dziećmi w tym swoim olbrzymim słomianym kapeluszu, plecionym własnoręcznie i uczył nas, jak się te raki jada. Były przepyszne.

Szukanie dawnej historii Kresów to jak umiejętność czytania z ust ludzi związanych z miejscami swojej młodości – w tej chwili nierzadko już 90-latków.

Opowieści czasami niezrozumiałe.

Wiele czasu upłynęło, wiele rzeczy się zmieniło, niektórych w żaden sposób nie udało się usunąć z pamięci. Tęsknota za miejscem, za domem, za łąką, zapachem została.

Świadomość bezpowrotności pozostanie.

Nazwy kresowych miast, miasteczek, wsi bołą.

Pani Bronia zamyśliła się.

Ja po cichutku dziękuję jej za rozmowę...



*Pani Bronia
Niedbała, 2011*

Rozmawiała: Barbara Jaworska

5. SZKOLNE LATA JANKA

– historia Jana Stefanowicza

Po warsztatach dziennikarskich przeprowadziłyśmy wywiad z panem Janem Stefanowiczem. Rozmowa była bardzo ciekawa, dowiedziałyśmy się wielu interesujących rzeczy, które chcemy tutaj opisać z jak najdrobniejszymi szczegółami.

Postaramy się zacząć od początku. Pan Jan urodził się 1 stycznia 1934 roku, w dawnym Łohiszynie, dziś ta miejscowość nosi nazwę Łahiszyn i znajduje się w województwie poleskim. Pan Stefanowicz wychowywał się w dużej rodzinie. Mieszkał z rodzicami oraz z dwiema młodszymi siostrami. W Łohiszynie mieszkało sporo Polaków, Żydów i Białorusinów. Zapytany,



*Jan Stefanowicz,
lata sześćdziesiąte*

dlaczego przyjechał właśnie do Słońska, odpowiedział, że gdy wyjeżdżał z Białorusi, to transport przywiózł ich do Kostrzyna, później zawieziono ich do Rzepina, potem ponownie do Kostrzyna nad Odrą, aż w końcu 13 marca 1946 roku trafili do Słońska. Kiedy nasz rozmówca przybył do naszej miejscowości, miał 11 lat. Podróż trwała prawie trzy tygodnie, jechano w skrajnych warunkach, w jednym wagonie przebywało nawet 21 rodzin.

Pan Stefanowicz z sentymentem wypowiadał się o swojej rodzinnej miejscowości. Mówił nam, że w Łohiszynie żyło się skromnie, lecz każdy się szanował. Ojciec pana Jana zajmował się rolnictwem. W jego gospodarstwie były konie, krowy, świnie, był także pies. Uprawiano grykę, proso, konopie i len, z którego robiono koszule. Na pole chodzono z sierpem. Dom pana Stefanowicza mieścił się niedaleko boiska, tam Janek spędzał wolny czas, bawiąc się z kolegami w różne gry i zabawy. W jego domu była sień, kuchnia, duży pokój, sypialnia. W kuchni jego rodziców znajdował się piec chlebowy, w którym wypiekano chleb, bułki oraz kaszanekę. Część osób z rodziny spała w sypialni, a niektórzy w kuchni przed piecem lub nawet na tym piecu.

Szkoła w Łohiszynie była duża, uczyło się w niej dużo dzieci. Kiedy pan Jan poszedł do pierwszej klasy do Łohiszyna przybyli Rosjanie i musiał on przez dwa lata uczęszczać do szkoły rosyjskiej. Kiedy Rosjanie odeszli do Łohiszyna przybyli Niemcy, którzy twierdząc, że poziom tamtejszej edukacji jest niski, cofnęli całą siedmioklasową szkołę o jeden rok niżej. Kiedy Niemcy dali sobie spokój z nauczaniem, ponownie zajęli się tym Rosjanie. Naszemu rozmówcy udało się dojść do klasy trzeciej. Nie poszedł jednak do klasy czwartej, ze względu na trudną sytuację musiał wraz z rodziną opuścić Łohiszyn. Natomiast, kiedy przybył do Słońska, w jeden rok udało mu się zaliczyć wszystkie klasy i otrzymał świadectwa aż do piątej. Pan Jan powiedział, że miał problemy z językiem polskim, którego uczył się z modlitewników trzymanyh za piecem.

Święta na Kresach nie różniły się niczym od świąt obchodzonych w naszej tradycji, jednak jak uważa pan Jan, były one skromniejsze. Kie-

dyś na święta się czekało, gdyż jak powiedział nasz rozmówca, było dużo ciasta, co dawniej było rzadkością. W czasie święta zbierano się całą grupką, podchodzono pod okna i śpiewano kolędy. Było to takie kolędowanie pod oknami. Wtedy wychodził gospodarz, dawał im kawałek chleba, słoniny, czy nawet bułkę, co było wtedy prawdziwym rarytasem. Po wspólnym kolędowaniu spotykano się u któregoś z kolegów i urządzano sobie swoistego rodzaju ucztę z „zarobionego” pożywienia. Był to rytuał typowo męski, kobiety miały swoje święto w Nowy Rok. Podczas ślubów podstawowym obrzędem było pieczenie korowaju, czyli chleba, który był stawiany przed parą młodą. Tradycyjną potrawą tamtego regionu były tuszonce – ziemniaki duszone z mięsem. Wkładało się je do pieca, czasem dodawano kapustę.

W rodzinnej miejscowości naszego rozmówcy był bardzo dobrze rozwinięty handel wymienny. Najczęściej chodzono do Żydów, gdzie następowała wymiana m.in.: jajka za śledzie. Pan Jan opowiadał nam również różne zabawne anegdoty. Dowiedzieliśmy się, że gdy jego mama kazała mu iść do Żyda wymienić jajko na cukier, powtarzał sobie ciągle, co ma kupić, lecz kiedy doszedł do połowy drogi zapomniał, po co został wysłany do sklepu.



Jan Stefanowicz, 2008

Poznałyśmy również różne ciekawe techniki przepędzania zimy. W jego rodzinnej miejscowości robiono to w następujący sposób: wchodziło na wierzbę boso, a schodzono z niej już w łapciach. I właśnie te stare już przechodzone łapcie były wiązane, a później szło się na górkę i tam przepędzano zimę. Polegało to na tym, że bito się tymi łapciami. Jak to określił pan Jan, była to ich własna bitwa pod Grunwaldem, śpiewano wtedy też różne przyspiewki.

Przed Świętami Wielkanocnymi rodzice pana Stefanowicza składali jajka w jedno miejsce oraz gotowali je w wywarze z cebuli. Na drugi dzień chodzo-

no je święcić. Kiedy wracano z kościoła, mężczyźni brali najmocniejsze jajka i wychodzili na rynek, gdzie się nimi bili. Polegało to na tym, że wygrywał ten, który miał „silniejsze” jajko. W taki sposób można było zdobyć jedzenia na parę dni. Młodszy natomiast mieli „słabsze” jajka, robili metrowe korytko, stawiali je na jakimś kamyku, robili kółko, puszczały jajka, które miało trafić w jajko rzucone przez przeciwnika. Najczęściej się to jednak nie udawało, ale jeśli się już udało, to odpadała osoba, której jajko zostało stłuczone.

Usłyszałyśmy też bardzo ciekawą historię o słynnym obrazie Matki Boskiej Łohiszyńskiej, która dzisiaj jest królową Polesia i na jego cześć przyjęła imię Matka Boska Poleska. Obraz był koronowany i w tej uroczystości uczestniczył pan Jan z wnuczką Ewelina, która swoim śpiewem ujęła mieszkańców Łohiszyna.

Pan Jan Stefanowicz opowiadał bardzo ciekawie i z pewnością nie nudziłyśmy się podczas słuchania historii o Kresach Wschodnich.

Rozmawiały: Monika Śliwińska i Kamila Komarnicka



6. BOŻE NARODZENIE OCZAMI BRONKA

– opowieść Bronisława Tatarewicza

Rodzina: Urodziłem się w Łohiszynie w 1940 r. Jak wszystkie rodziny w Łohiszynie mieliśmy pole, łąkę i las. Dzięki temu prawie nic nie musieliśmy kupować, ponieważ wszystko dawało nam pole. Poza rolnictwem zajmowaliśmy się również działalnością rzemieślniczą. W domu była olejarnia, w której tłoczono olej lniany (teraz mało znany). Nie można było go trzymać dłużej niż tydzień, ponieważ był nietrwały, tracił wartości odżywcze, dlatego tłoczyliśmy go na bieżąco. Wykorzystywany był na własne potrzeby lub wymienialiśmy się na inne produkty.

Mieliśmy też cegielnię polową. W ogrodzonym drewnem okręgu wyrabiano się glinę, z której robiło się w foremkach cegły i gotowe odstawiało do osuszenia. Z tych cegieł można było na przykład zbudować piec, w którym było miejsce w środku na drewno. Taki piec służył nie tylko do ogrzewania domu, ale również do spania na nim i gotowania posiłków. Wykorzystywany był również do suszenia zboża, owoców czy pestek z dyni. W tym piecu gotowano posiłki na cały dzień: kobieta wstawiała rano i gotowała jedzenie w trzech wielkich garach, które wystarczało na cały dzień: na śniadanie, obiad i kolację.

Zwyczaje: W Łohiszynie tradycji było mnóstwo. Każda okoliczność stwarzała ramy jakiegoś obrzędu. Na każdą okazję były przyspiewki, czy to był ślub, chrzest, czy nawet pogrzeb. Nie obeszło się bez śpiewania również podczas żniw, podczas przerwy w pracy na polu lub w podróży.



Bronisław Tatarewicz, 2011

Na weselach wszyscy goście się znali. Najważniejsi byli starosta weselny, druhowie i druhny. Dla podkreślenia ich rangi na weselu państwo młodzi dekorowali ich ozdobnymi szarfami.

Na kolędę chodziliśmy w grupach kolegów mieszkających na jednej ulicy. Kolędowaliśmy tylko w obrębie swojej ulicy. Obcym wstęp był wzbroniony i to nie tylko podczas kolędy. Kolędowanie polegało na tym, że chodziło się od domu do domu, pukało w okna i śpiewało kolędy. Otrzymywaliśmy za to chleb, ciasto i różne inne rzeczy. Wtedy wszyscy przyjmowali kolędników. Był taki zwyczaj, że chłopcy chodzili w wigilię Bożego Narodzenia, a dziewczyny w wigilię Nowego Roku.

Po wojnie podczas pogrzebu był pochód, na którym grała orkiestra. Grę orkiestry słyszała cała miejscowość, a dla dzieci uczestnictwo w pochodzie z orkiestrą było rozrywką. Groby stawiano z krzyżem z żywego drewna, a trumny wyglądały jak skrzynie.

Szkoła: W szkole po wojnie uczono w języku rosyjskim. O wykształcenie się nie starano, sądząc, że ukończenie szkoły i tak nie zapewni w przyszłości pracy. Mało kto kontynuował naukę. Dzieci do szkoły zaczynały chodzić, jak już nie trzeba było wypędzać krów na pastwisko oraz gdy kończyły się prace polowe. Jak chodziłem do szkoły, to została ona spalona i wtedy gromadziliśmy się w różnych domach, aby mogły odbyć się lekcje.

Czas wolny: Gdy miałem czas wolny jako dziecko, to nie siedziałem w domu, tylko spotykałem się z kolegami z ulicy na wielkim, leżącym w pobliżu głazie. Głaz był tak duży, że mieściło się nas na nim chyba dziesięciu. Graliśmy tam w różne gry. Bardzo lubiłem czytać książki, chowałem się, żeby mnie nikt nie znalazł, i czytałem. Gdy chodziłem paść krowy, zabierałem ze sobą książkę i czytałem zamiast pilnować krów i one mi uciekały. Byłem w świecie książki i nic nie słyszałem poza własnymi myślami.

Czasem chodziliśmy do innych słuchać różnych opowieści, legend o naszej miejscowości. Słuchaliśmy opowiadań przy lampie naftowej lub przy świecy.

Przyjazd do Słońska: Mojego ojca wzięli do wojska i wyjechał z Łohiszyna. Osiedlił się w zachodniej Polsce i postanowił sprowadzić rodzinę. Matka bardzo chciała jechać, ale ja byłem wtedy bardzo chory, miałem zapalenie płuc i nie pojechaliśmy. Jak wyzdrowiałem, to nie było już wyjazdów, granica została zamknięta. Zanim ją ponownie otworzono, minęło 12 lat i wtedy dopiero dołączyliśmy do taty.

Spisali: Barbara Gąsiorek i Henryk Radowski



V. Województwo tarnopolskie



Województwo tarnopolskie – województwo II Rzeczypospolitej utworzone 23 grudnia 1920 r. ze stolicą w Tarnopolu. Innymi dużymi miastami województwa były: Złoczów, Brody, Brzeżany i Zbaraż.

1. DAWNE CZASY BABCI APOLONII

– rozmowa z babcią

Bajki zaczynają się tak – za górami, za lasami... Nie, poprawia mnie siostra – za siedmioma górami, za siedmioma rzekami... Takie bajki znamy z dzieciństwa, gdy nie umiałyśmy jeszcze czytać. Teraz, jako jedenastoletnie bliźniaczki, idziemy na poważny wywiad prasowy do naszej babci Apolonii Tychończuk.

Gdy pytałyśmy babcię o dawne czasy, czasami potrzebowała chwili do namysłu.

– Pochodzę z województwa tarnopolskiego z miejscowości Kopyczyńce. W domu było nas siedmioro: mama, tata, brat Emil, Janka, Stefka, Marysia i ja. Rodzice pracowali na roli.

– W jakim domu mieszkała babcia? – Zapytałyśmy. Twarz babci nagle pojaśniała.

– Dom zbudowany był z czerwonej cegły, składał się z dwóch pokoi i kuchni. Było może biednie, ale czysto i ładnie. Wokół domu był piękny



Apolonia Markuszewska,
lata pięćdziesiąte

sad, w którym kwitły jabłonie, bzy, jaśmin i wiśnie. Chleb piekła mama. Mleko, masło, ser mieliśmy swoje. Wyrabialiśmy kasze i mąkę. Gdy sprzedaliśmy zboże, to kupowaliśmy w sklepie potrzebne rzeczy, np. cukier.

– Jakie potrawy pamięta babcia z dzieciństwa?

– Bigos, pierogi, placki, barszcz, kasze jaglaną i gryczaną. Na śniadanie często była mamałyga, tj. kasza manna zapiekana w piecu.

– Jak wyglądało Boże Narodzenie? Czy była choinka?

– Boże Narodzenie obchodziliśmy bardzo uroczyście. Przynosiliśmy z lasu choinkę, ze stodoły snopek pszenicy, który stawialiśmy w kącie, ścieliliśmy na podłodze słomę i wszystkie dzieci przez okres świąt spały na tej słomie. Wieczorami chodziliśmy po domach, kolędując. Zimy były bardzo mroźne i śnieżne, ale dla nas dzieci to był raj.

– Coraz bardziej zaciekawione zapytałyśmy, dlaczego babci rodzina musiała wyjechać?

– Dziadek nie chciał podpisać karty o obywatelstwie rosyjskim, ponieważ był Polakiem. Natomiast drugim powodem były mordy na Polakach organizowane przez Ukraińców. Wyjechaliśmy w nieznane. Podróż w towarowych wagonach trwała trzy tygodnie od 15 marca 1946 r. do 6 kwietnia 1946 r. Zabraliśmy cały nasz dobytek. Chcieliśmy na wieś. Tutaj były duże pola, a jak wiecie, nasza rodzina miała trzodę oraz uprawiała pole.



*Apolonia
Tychończuk, 2000*

– Ucałowałyśmy babcię na pożegnanie. Ja i moja siostra jesteśmy niemal pewne, że łza na policzku babci miała nie tylko słony smak. Był taki trochę gorzki, a może nam się zdawało. Zapytajcie swoje i nie tylko swoje babcie czy dziadków, a powiedzą wam tak – miarowy stukot kół wagonu towarowego, długie postoje na nieznaną ziemi...

Martyna i Agnieszka Tychończuk



VI. Województwo wileńskie

Województwo II Rzeczypospolitej istniejące w latach 1926–1939 ze stolicą w Wilnie. Główne miasta: Wilno, Mołodeczno, Oszmiana, Święciany. Formalnie powołane do życia dopiero w 1925 r. jako ostatnie województwo II RP (od 13 kwietnia 1922 r. do 20 stycznia 1926 r. terytorium to było znane jako ziemia wileńska). Województwo wileńskie miało 14 miast, 103 gminy wiejskie i dzieliło się na 8 powiatów. W 1939 r. województwo podzielono między ZSRR a Republikę Litewską, a polskie władze działały w podziemiu.

1. RODZINNY DOM EWY

– *opowieść Ewy Boryczewskiej*

Pani Ewa Boryczewska urodziła się na Wileńszczyźnie 22 listopada 1922 roku. Mieszkała we wsi Popowszczyzna w powiecie Oszmiana. Do najbliższej wioski było 4 km. Tam, gdzie mieszkała, były same drewniane domy, ponieważ w murowanych było zbyt zimno. Znajdowała się tam również szkoła podstawowa. Nauka trwała cztery lata, ale do klasy czwartej chodziło się aż trzy lata. Jeżeli ktoś chciał kształcić się dalej, musiał dojeżdżać do Wilna.

Bohaterka naszego wywiadu wychowywała się w gospodarstwie rolnym prowadzonym przez jej rodziców. Hodowali świnie, owce, kury, krowy i konie, które wykorzystywano do prac w polu. Uprawiano len, z którego tkano płótno. Pani Ewa miała kilkoro rodzeństwa. Ponieważ była najstarsza, musiała pomagać swoim rodzicom. Gdy wybuchła wojna, była młodą dziewczyną, miała 17 lat. Wojna była jednym z gorszych okresów w jej życiu. Była bieda, śniegi okropne,



Ewa Boryczewska, 2011

sklepów nie było, a jak były, to puste. Wszystko trzeba było mieć swoje. Trzeba było prząść, tkać, szydełkować i robić na drutach. Młyny były pozamykane, a mieliło się w żarnach. Mimo wielu zajęć młodzież znajdowała czas na wspólne zabawy. Zimą zjeżdżali na nartach, na nartach też docierali do szkoły. Mrozy były tak silne, że noszono walonki i grube wełniane rękawice. Na wiosnę były ogromne roztopy, zaś czasem bywało tak, że śnieg pozostawał aż do Wielkanocy. Latem chętnie brano udział w pielgrzymkach do miejsc świętych. Odbywały się także cotygodniowe jarmarki oraz coroczne Kaziuki.

Na Święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia wszyscy z utęsknieniem czekali. Robiono świąteczne porządki. W Boże Narodzenie obowiązkowo stawiano choinkę. Wszystkie potrawy były wykonywane samodzielnie, przed Wielkanocą odbywało się świniobicie.

Na Wileńszczyźnie mieszkało wielu Polaków, którzy po drugiej wojnie światowej i zajęciu tych ziem przez Związek Radziecki wyjechali, ponieważ nie chcieli przyjąć obywatelstwa radzieckiego. Żeby wyjechać, trzeba było przedstawić jakiś dokument świadczący o polskości. Pani Ewa z rodziną też udała się do Polski.

Podróż do Słońska była dość długa i z przygodami. Przyjechali pociągiem do Grodna, a potem do Górzycy. Była zima, 2 lutego 1946 r. W dzień się stało, a nocą podróżowano i trudno było cokolwiek zobaczyć. Trwało to dwa tygodnie. W Górzycy ludzie dostali furmankę i musieli się tam osiedlić. Po wyjściu za mąż pani Ewa przyjechała do Słońska, a jej rodzice dojechali dopiero w maju. Ojciec naszej rozmówczynie zmarł miesiąc po przyjeździe. Jej mąż był szewcem, a ona zajmowała się dziećmi.

Nie ma żadnych pamiątek z Kresów oprócz świadectwa szkolnego i dwóch modlitewników. Pozostałe rzeczy zaginęły podczas wojny.

W latach osiemdziesiątych pani Ewa pojechała odwiedzić swoje rodzinne strony. Popowszczyzna zmieniła się nie do poznania. Wracała tam jeszcze trzy razy. Po ostatnim wyjeździe stwierdziła, że więcej tam nie pojedzie.

Rozmawiały: Monika Śliwińska i Kamila Komarnicka





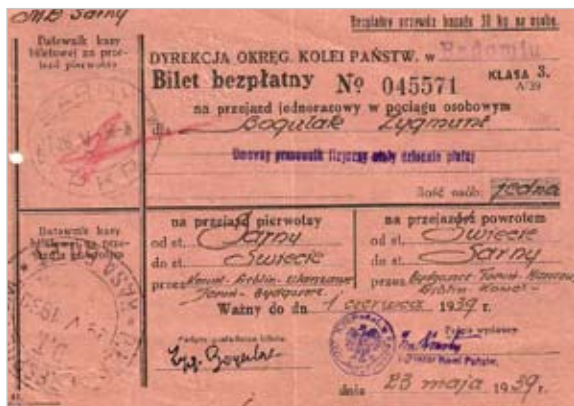
VII. Województwo wołyńskie

Województwo II Rzeczypospolitej istniejące w latach 1921–1939 ze stolicą w Łucku. Województwo zostało utworzone 19 lutego 1921 roku. Największą zmianą terytorialną w ciągu istnienia województwa było przyłączenie 16 grudnia 1930 roku powiatu sarnieńskiego z województwa poleskiego. W 1938 roku powierzchnia województwa wynosiła 35 754 km². Poza Łuckiem głównymi miastami były: Równe (największe miasto), Kowel, Krzemieniec, Ostróg, Włodzimierz i Dubno.

1. Z NIEDAWNYCH LAT – Zygmunt Bogulak-Bogulski

Tak niedawno jeszcze byłem:
hardy, butny, dziecko burzy.
Z „Jastrzębiami ja fruwałem”,
rwałem pióra kruków chmury.
A w wędrowce swej przygodnej
widywałem kraje liczne,
dzikie, piękne i bogate
i nad Niemnem lasy śliczne.
Bursztynowe mętne fale
i port wielki piękny, nowy,

nadwiślańskie miasta stare,
 ukraiński Lud Kresowy,
 Kraków – Wawel – Góry z dala,
 przemysł Śląski – Lud bogaty
 i poleskie biedne chaty – byli mi braćmi.



*Bilet bezpłatny z roku 1939,
 dzięki któremu Zygmunta Bogulak zwiedził Kresy.*

[...] Polesie zamieszkiwał naród biedny, lecz bardzo gościnny i muzykalny. Miasto Sarny dzieliło się na dwie strony: wołyńską i poleską. Kolegami moimi byli Poleszuki i Ukraińcy.

[...] Utkwiły mi w pamięci zwyczaje wielkanocne, które obchodzono po stronie poleskiej, inne niż nasze wołyńskie i warszawskie.

– W Palmową Niedzielę noszono palmy wierzbowe, przystrojone przez dziewczęta w kwiaty i wstążki. Każda z dziewcząt starała się, aby jej palma była najładniejsza. Po nabożeństwie w cerkwi mama była poświęconą palmą dzieci, mówiąc: „ wyrba bije my ja bju, za tyżdynnylykdyń, but wysoły, jak wysna, bud roboczy jak lito, but bohaty jak osyń, bud zdorwyj jak zyma”. Później wieszano palmę przy świętym obrazie i miała ona strzec dom przed piorunami.

Kiedy przychodził Wielki Czwartek, chłopcy z poleskiej strony Sarn biegli rano do rzeki, aby się umyć. Szybko, bo kto zdąży się umyć przed wschodem słońca, ten nie będzie miał piegów przez cały rok. Polacy ze strony wołyńskiej robili to samo. W tym samym czasie bielono mieszkania, gospodynie w tym dniu myły wszystkie naczynia kuchenne.

- W pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych trwała polesko-wołyńska wojna na wybijanie jaj oraz ich taczanie.

- Po Wielkanocy w środę nikt z Poleszuków nie pracował, dzień ten nosił nazwę „suchajasyryda”, w czwartek po Wielkanocy też nie można było pracować – była to żeńska Wielkanoc „babski welykdyń”.

[...] W pamięci mojej utrwaliły się piękne, ale zarazem tęskne pieśni poleskie. Wieczorami razem z kolegami zakradaliśmy się pod poleskie chaty, żeby słuchać pięknych śpiewów prządek, które zbierały się w ustalonej chacie i przy furczących kołowrotkach pięknie śpiewały. Świat był piękny i zdawało się niezmienny.

[...] 1938 rok styczeń – wszyscy dużo mówią o wojnie

Fragment z „Pamiętnika Warszawiaka” 1938 r. Hołoby

Zygmunt Bogulak-Bogulski



Kartka z pamiętnika Zygmunta Bogulaka-Bogulskiego

2. Z WOŁYNIA DO SŁOŃSKA

– rozmowa z Janem Węgrzynem

Pan Jan Węgrzyn bardzo dobrze pamięta swoją podróż, jaką przebył z rodziną i innymi z Wołynia do Słońska, mimo że minęło już tyle lat. Dowiedzieliśmy się również, co sprawiało panu Janowi bardzo dużo radości oraz jak obchodzono święta w jego miejscowości.

• Czy pamięta Pan podróż z Wołynia?

Nasza podróż rozpoczęła się zimą, miałem wtedy kilka lat, kiedy wszyscy musieliśmy wyjechać z Krzywuchy w powiecie Dubno na Wołyniu, ponieważ było tam niebezpiecznie. Było nas 16 rodzin. Jechaliśmy wagonami towarowymi. Podróż trwała bardzo długo.



*Janek Węgrzyn,
lata pięćdziesiąte*

• Podczas przeprowadzanych przez nas wywiadów prawie nikt nie udzielił nam odpowiedzi na pytanie, przez jakie miejscowości przejeżdżali, jadąc ze Wschodu. Czy uda nam się uzyskać odpowiedź na to pytanie od Pana?

Pamiętam, że przejeżdżaliśmy przez Sarny, Rzeszów, Rozwadów, Lublin. Z Lublina dojechaliśmy do Zamościa, gdzie zostaliśmy rozładowani na dworcu. Czekaliśmy tam na kolejny transport, który zawiózł nas do Tyszowiec, 39 kilometrów od Zamościa, gdzie mieszkaliśmy od lutego 1944 r. do lipca 1945 r.

• A czy Pan pamięta może coś z tej miejscowości, czy wydarzyło się tam coś, co utkwіło Panu w pamięci?

Podczas pobytu w Tyszowcach chodziłem do pierwszej klasy, a 12 maja przystąpiłem tam do Pierwszej Komunii Świętej. Po ceremonii

w kościele było dla nas przyjęcie, na którym dostałem bułkę i pół kubka mleka, co mi przyniosło wielką radość. Z Tyszowiec wyjechaliśmy w lipcu 1945 r.

• A jaka była podróż z Tyszowiec? Przez jakie miejscowości Pan wraz z rodziną podróżował i dokąd ta podróż Państwa doprowadziła?

Z Tyszowiec jechaliśmy do Kostrzyna przez Warszawę, przejeżdżając przez Poznań, gdzie się zatrzymaliśmy i spędziliśmy dwie lub trzy noce. Pamiętam, że w Poznaniu otrzymaliśmy chleb i konserwy. Kolejnymi miejscowościami, przez jakie przejeżdżaliśmy, był Krzyż, Gorzów Wielkopolski i w końcu Kostrzyn. A do Słońska przyjechaliśmy wozem 15 lipca 1945 r.

• Większość rodzin ze Wschodu zatrzymała się w Słońsku, ponieważ zajmowali się rolnictwem, a w Słońsku było dużo pól, łąk, więc mieli powód, dla którego osiedlili się właśnie tu. A czy Pana rodzina również miała taki powód?

Do Słońska dojechaliśmy wozem. Chcieliśmy jechać dalej, ale już nie było można, więc musieliśmy tu zostać. Byliśmy w Słońsku pierwszymi osadnikami, którzy przybyli ze Wschodu, kolejnymi byli mieszkańcy Polesia i Lwowa. Pamiętam, że pierwsze moje mieszkanie było przy ulicy Prostej, a kolejne przy Puszkina.

• Mimo że Pan miał wtedy kilka lat, to całkiem dobrze pamięta Pan tę drogę i to, co ze sobą ona niosła. Pan urodził się na Wschodzie, ale czy tam są Pana korzenie? Mieszkali tam Pana dziadkowie, pradiadkowie?

Nie, nie. Mój ojciec urodził się w powiecie Tarnów, w województwie krakowskim, obecnie jest to województwo małopolskie, natomiast moja matka pochodzi z powiatu Janów. W Wołyniu zamieszkali po pierwszej wojnie. Mieszkały tam mojego ojca siostry, bracia (jeden z nich był gajowym i za to został wysłany na Sybir, ponieważ był inteligentny, a wtedy inteligencję tępieno). A mój ojciec, jak się ożenił, kupił na Wołyniu dom i zamieszkał wraz z żoną.

• **Bardzo dużo już wiemy o podróży i o tym jak Pana rodzina zamieszkała w Wołyniu. Może teraz nam Pan opowie o życiu na Wschodzie. Jakie tam były tradycje, obrzędy, życie codzienne?**

Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy tak jak teraz. Wszyscy się razem zbieraliśmy. Na początku wieczery wigilijnej gospodarz dzielił wszystkich połamanym opłatkiem, który leżał na talerzu, a następnie wszyscy dzieliliśmy się między sobą, każdy z każdym. Tak zostało do dzisiaj. Oczywiście chodzili też kolednicy, którzy stroje przygotowywali sobie samodzielnie, robili sobie gwiazdę, która się kręciła i różne inne rzeczy, które były symbolem Bożego Narodzenia.



Jan Węgrzyn, 2011

• **Czyli jeśli chodzi o tradycje świąteczne, to niewiele się zmieniło?**

Te tradycje, które przywieźliśmy ze Wschodu, staramy się utrzymać do dzisiejszego dnia.

• **A jak spędzał Pan wolny czas? Co sprawiało Panu dużo przyjemności?**

W wolnym czasie spotykaliśmy się z kolegami i bawiliśmy się. Ja osobiście lubiłem bardzo śpiewać, mam do dziś kilka tekstów piosenek ze Wschodu, które śpiewaliśmy, m.in. „Tylko we Lwowie”, „Wileńszczyzny drogi kraj”. Przez 18 lat śpiewałem w chórze i kiedy spotykaliśmy się ze znajomymi z chóru, śpiewaliśmy je przy różnych instrumentach.

Dziękujemy bardzo za odpowiedzi na nasze pytania.

Rozmawiali: Edyta Gąsiorek i Henryk Radowski

1. HISTORIA MIŁOŚCI

– opowieść o Wandzie Czujkowskiej

Był rok 1917, piękna, malownicza wioska o nazwie Wilszana, pola o ziemi pszenno-buraczanej obrodziły zbożem, ludzie z radością wracali po ciężkim dniu pracy. Takiego właśnie dnia w szlacheckiej rodzinie Jakubowskich przyszyła na świat Wanda.

Ludzie czuli nadchodzący koniec wojny, z nowymi siłami i nadzieją w sercu próbowali żyć.

Nadeszły lata trzydzieste...

Nadzieja jednak okazała się płonna, Stalin rozkazał wywozić ludność, zmuszając do wstąpienia do kolchozu, najpierw zabierano dzieci, a dwa tygodnie później dorosłych. Rozdzielano rodziny, aby ostudzić żar tak żywy jeszcze przecież. Byli i tacy, co wyjeżdżać nie chcieli, mieli tu przecież dom, ziemię, tu się urodzili i tu chcieli zakończyć życie. Sowietom



*Wanda Czujkowska,
lata trzydzieste*

na takich ludzi znaleźli sposób, zabierali wszystko, mydło, złoto, jedzenie, a nawet całe zboże, tak więc ci, którzy zostali, nie mieli środków do życia, nie było czym obsiać pól. Zaczął się głód. Wilszanie jakoś sobie radzili, póki były drzewa, krzewy, trawa. Ale kiedy zjedli już wszystko, co się do jedzenia nadało, gdy zniknęła trawa, a drzewa obdarto z kory, wioska i ludzie ją zamieszkujący znaleźli się na skraju przepaści. W całej miejscowości nie było niczego, co nadawałoby się do zjedzenia. Panował głód

przepotworny, szarpiący trzewia, niszczący duszę. Wiele złego się z tego głodu działo.

Wanda była młodą i piękną dziewczyną, w Wilszanie została z dziadkiem, podczas gdy rodzice z jej siostrą i bratem udali się do Baku, tam było lepiej, było jedzenie. Mama przysyłała Wandzie paczki, lecz w drodze okradali je i w każdej dziewczyna znajdowała tylko kamienie.

Wanda chudła i to było jej szczęście, przeżyła. Inni tyli, a właściwie puchli z głodu i umierali. Na drodze spotkała kiedyś kobietę spuchniętą z głodu, woda leciała jej z nóg, w drodze powrotnej spotkała ją znowu – martwą.

Wanda wyszła za męża. W 1937 roku zabierali Polaków na Syberię, zabrali ojca, matkę zostawili, brat zginął w Charkowie.

Mimo wszystko Polacy długo nie uciekali. Tu była ich ziemia, tu domy. Tu dobrzy, wierzący ludzie, kochający sąsiedzi. Tu żyli i Polacy, i Ukraińcy, ale wszyscy w zgodzie.

Wanda dowiedziała się, że i jej mąż został wywieziony na Sybir, ludzie mówili, że zginął, ale Wandzie udało się jeszcze z nim spotkać.

W 1941 r. dziewczyna ciężko zachorowała. Po ratunek pojechała do Zamościa, gdzie matka miała rodzinę, pod niemiecką okupację. Tam przeszła ciężką operację, spotkała dobrych ludzi, do Wilszany nie wróciła, nie było już do czego wracać. Choć chciała tak bardzo, tak bardzo tęskniła...

Drugiego męża poznała już w Zamościu, pracował na kolei. Wanda wdowa, on wdowiec. Czesław był miłym, przystojnym mężczyzną, po trzydziestu minutach rozmowy z Wandą oświadczył się. Wanda po przebytej operacji nie mogła mieć dzieci, za to Czesław z po-



Dzbanek z Ukrainy

przedniego małżeństwa miał dwóch synów, Gienka i Janusza. Jakież to szczęście mieć dzieci, mówiła Wanda. I stała się dla nich prawdziwą matką, opiekuńczą i kochającą. Chłopcy bardzo szybko zaczęli mówić do niej „mamo”. A tacy byli śliczni i kochani, najlepsi na świecie. Ślub Wanda i Czesław wzięli w 1947 roku i w tym samym przyszło im uciekać z Zamościa. I tak Wanda z mężem i dziećmi trafiła do Słońska, gdzie do dzisiejszego dnia żyje, rozpamiętując dawne życie, dawne szczęście i dawne tragedie.



*Wanda Czujkowska,
2011*

Stalin, kołchozy, potajemne nauczanie, pieśni śpiewane do dzisiaj, wiersze deklamowane bez pomyłek. Wielka wiara w przetrwanie, pobożność, modlitwa. Pomaganie wszystkich we wszystkim.

Mimo wszystkich ciężkich chwil Wanda ciepło wspomina Wilszanę i jej mieszkańców. Tam nadal jest piękną, młodą dziewczyną, śpiewającą do późnej nocy.

*Wysłuchała: Barbara Jaworska
Spisała: Katarzyna Niemyska*

IX. Słowniczek

- **czterokamiuszki** – gra w cztery kamienie
- **hreczka** – gryka
- **kantyczka** – zbiór pieśni religijnych, zwłaszcza kolęd i pastorałek
- **Kaziuki** – odbywający się od czterystu lat jarmark odpustowy w Wilnie w dzień świętego Kazimierza (4 marca). W jego trakcie odbywały się pochody na czele z kuglarzami i przebierańcami. Kaziuki miały miejsce na placu Katedralnym, a od 1901 roku na placu Łukiskim. W okresie międzywojennym pochód otwierał przebrany za św. Kazimierza wilnianin
- **kasza prosiana** – inaczej jagłana, wyrabiana z prosa
- **kądziel** – pęk włókien lnianych, konopnych lub wełnianych do przędzenia, umocowany na krążku przędzy lub kołowrotka
- **korowaj** – weselne ciasto drożdżowe
- **łamańce** – wigilijne ciasto z makiem
- **mamałyga** – potrawa z mąki albo kaszy kukurydzianej
- **mużyki** – rdzenni mieszkańcy Białorusi, prawosławni
- **nastylnik** – obrus ręcznie robiony
- **niezabudki** – kwiaty niezapominajki
- **Poleszucy, Poleszuki** – grupa etniczna, która zamieszkiwała bagna Polesia, dzisiaj zamieszkujący odległe tereny Polski, Białorusi i Ukrainy
- **postoły** – łapcie, obuwie dawnych Słowian wyplatane techniką krzyżową z łyka, najczęściej lipy lub wiązu. Wkładane na nogę owiniętą w onucę i przywiązywane sznurkiem buty z łyka lipowego

- **potiasz** – przyrząd, w kształcie litery L, do którego mocowano kądziel
- **prostiny** – prześcieradło
- **rucznik** – lniany ręcznik haftowany
- **soroczka** – koszula
- **świronok** – drewniany składzik na narzędzia
- **tuszonce** – potrawa z ziemniaków, mięsa, warzyw z przyprawami przygotowywana w piecu chlebowym
- **walonki** – ciepłe obuwie do połowy łydki (czasem do kolan), nieprzepuszczające wody. Wytwarzane są z grubego filcu, tzw. wojłoku formowanego z wielu warstw przy użyciu pary i specjalnego klocka, służącego do nadawania kształtu. Spód jest powlekany gumą. W wersji bez gumowej podeszwy mogą być używane jak skarpeta, nakłada się na nie wtedy właściwe obuwie
- **wereteno** – wrzeciono
- **wyczorki** – spotkanie kobiet, w czasie którego przędły i śpiewały pieśni

